

JAN ROJEWSKI

# ALBERT HARRIS BOHATER NASZYCH CZASÓW

ilustr. Mieczysław Piotrowski

Gdyby autor piosenki „O mojej Warszawie” był tylko grafomanem muzyczno-literackim, o takich czy innych personaliach, o bardziej lub mniej sympatycznym rysopisie, mniejszy artystyk byłby grubą przesadą. Albert Harris jest jednak również wcieleniem konkretnych ideałów konkretnej części naszego społeczeństwa. Zgubienie skali zgubiło Harrisa. Nie można przecież, bez narażenia się na śmieszność, powiększać miniatury do rozmiarów pomnika. Pewien Amerykanin chwalił się, że jest posiadaczem największej miniatury świata. Do bogatej kolekcji amerykańskiej przybył Albert Harris.

Ideał drobnomieszczański w piosence święci u nas triumfy nie od dzisiaj. Był tak mocny, że rozwalił nawet bariery rasowe. Pamiętamy przecież dobrze obrazki z przedwojennych dancinów. Jasnowłosy oficer i właściciel masarni z Marszałkowskiej wylewali szczere łzy wzruszenia pod dźwięki „Rebeki”... „Że w małym miasteczku za toba ktoś wyplakał z oczu łzy”... pod „Belz”... maleńka miejscina gdzie moja rodzina i dom mój był”... W klimacie takich piosenek wyrósł Albert Harris, z czasem stał się ich głównym dostawcą i wykonawcą.

Placzkowe tony harrisowe nagrywały rozmaite „Odeony”, „Syrany”, „Elektro” i rozpowszechniały w masach drobnomieszczańskiego kultuństwa. Z wszystkich okien chwytał za serce apatyczny szloch Harrisa: „Sex appel — to wasza broń kobiety... słaba pleć, a jednak jest mocniejsza...”. Harmonizowało to bardzo z „Rena”, uwiedzioną przez szefa, ze „Znachorem”, w którym bohaterka, srodo doświadczona przez los, porywa się na ostateczność i po heroicznej walce wewnętrznej, uzewnętrznionej przez Waszyńskiego, postanawia... pracować. Pasowało to jak ulał do nieskazitelnych manekinów z wystawy Chojnackiego, do dam z witraży fryzjerskich, które w dni upalne plakały nawet ciężkimi workowymi łzami, pasowało to przede wszystkim do... fotografii Alberta Harrisa. Drobnomieszczański fotografuje się inaczej. Nigdy po prostu bez pozy. Na fotografii jest takim, jakim chciałby być, bliższy ideału. Harrisa pamiętam z mikrofonem w dłoni, z lewą ręką na sercu. Na twarzy albo gorzki uśmiech lumpenproletariusza do słów: „...I taka chandra się kładzie cholera”, albo filozoficzna zaduma nad zagadką bytu do przeboju „Bo życie trzeba rwać jak świeże wiśni” do tanga: „...dłatego tylko dwanaście godzin i z inna co dzień nie znudzi się”... — mina udrezonego Casanovy, i wreszcie twarz młodego Wertera do „Ostatniej niedzieli”. Lump z podniesionym koflerem i opuszczonym rondem kapelusza, namietny kochanek rwnący życie jak wiśni, rozpustnik zmęczony miłością i samobójca na tle zawodu miłosnego — oto ideały Harrisa i jego klasy.

Harris nie był podobny do żadnego ze swoich idealów. Bolał nad tym bardzo. Krótkie kwadratowe nogi na kaczym plafussie, i ogromna kwadratowa głowa robiły wrażenie odhodzącego układu Pitagorasa, przy czym kwadrat głowy był naprawdę równy sumie kwadratów nóg, wystawionych na przyprostokątnych wiecznie rozpletego rozporka. Nawet tak zarozumiały człowiek jak Harris rozumiał więc, że w codziennym, zwykłym życiu nie ma szans na bohatera swoich czasów. Stał marzenie o filmie, którego byłby bohaterem. To marzenie nie opuszczało go nigdy i stało się też w konsekwencji „główną przyczyną dramatu”.

Ale po kolei. Druga imperialistyczna wojna zastała zapewne Harrisa nad dylematem, który z dwu refrainów jest bardziej życiowy: „Mów mi o miłości Mariou!”, czy: „Lecz proszę ani słowa o miłości, kochaj mnie a o innych sprawach mów!” Raptem wyrwany z drobnomieszczańskiego eldorado, znalazł się w Związku Radzieckim. Tu miał okazję przekonać się, że żaden z obu refrainów nie był życiowy. Nie został Harris wieszczem Związku Radzieckiego, ani nawet Błobidżanu...

Dopiero Związek Patriotów Polskich w Moskwie rozniecił przęgasa gwiazde Harrisa. Natretny mistrz był podobno równie czynny w hotelu „Moskwa”, tak później w „Polonii”. Słusznie przewidywał, że ZPP to ostatnia dla niego szansa wyjazdu z kraju, gdzie „Harri-

sowie” od dawna przestali wzruszać. Nastąpiło zabawne qui pro quo. Rozwój wypadków w połączeniu z niewyrobieniem artystycznym paru drobnomieszczańskich dostojników, wyniósł „Piosenkę o mojej Warszawie” do rangi hymnu. Kiedy mistrz pisał: „Ja wiem że ty dzisiaj nie taka”... — miał na myśli lokal „Ala Fourchette”, gdzie spożywał indyczkę z borówkami i odległy „Palais de Danse” gdzie wykliwał swoje tanga... Tymczasem nastąpiło powstanie i zburzenie Warszawy. Szmoncesy Harrisa nabrały patosu. Dopiero jednak reformy społeczne pasowały autora słów: „Ja wiem że ty dzisiaj nie taka” do roli wieszacza nieśmiertelnego drobnomieszczaństwa.

Radosne spotkanie „Wieszca” z przedwojenną klientelą nastąpiło w hotelu „Polonia”. „Podziemni działacze” w marynarkach do kolan, płakali jak niegdyś pod dźwięki „Rebeki”. Mistrz promieniał. Szybko zauważył, że do tamtych przedwojennych idealów jego klasy przybył jeszcze jeden: kult Yankesów. Czym prędzej więc nałożył marynarkę w kratę i aerodynamiczne okulary. Znajomych pozdrowił szeroko: „Haalo” i machnięciem podniesionej ręki. Pytał mnie pół serio, pół żartem czy nie jest w tej pozie podobny do prezydenta Roosevelta, przyjmującego defiladę floty w kanale Panama.

Panama trwała parę miesięcy. Popularność Harrisa rosła. Zdezorientowani cudzoziemcy przyzwyczaili się nie tańczyć przy dźwiękach „Warszawy”, a przedstawiciele mniejszych państw podnosili się nawet z miejsc i stawali na baczność w głębokim skurpieniu. Żeby nie urazić uczuć. Po „hymnie” następowala „Odpowiedź Warszawy” — utwór nieznanego barda na tę samą melodię: „Dziękuję za serce chłopaku, ja wiem, spod naszego tys znaku...” Przy dźwiękach uroczystego marszu „Chłopak spod znaku” przebiegał się przez rozentuzjazmowany tłum i zajmował miejsce przed orkiestra. Płynęły rzewne łkania harrisowe: „Czy dowiole kiedyś siebie pod znajoma kamieniczka, czy poczuje pod stopami jak nierówny, twarzą bruk...” Rzecz osobliwa. Kultuństwo wychowane na gładkich asfaltach, w wielopiętrowych kamienicach plawiło się jednak rozkosznie w tych mitycznych „Kamieniczkach” Alberta Harrisa. Powierzchni Amerykanie przyjmowali tę popularność za dowód wartości, Harris już wtedy udzielał wywiadów. Narzekał na niski poziom poezji polskiej, na jej brak kontaktu z ludem... Prawda, jego twórczość jest inna — przyznawał rozmówcom, ale jedna jaskółka nie czyni przecież wiosny...

Z czasem wierzył Harris w własną wielkość i w historyczną misję, która miał wypełnić. Któż, jeśli nie on miał uwiecznić bohaterstwo Warszawy, zadokumentować je przed całym światem w monumentalnym filmie „Piosenka o mojej Warszawie”. Któż, jeśli nie on mógł zagrać główną rolę warszawskiego powstańca, gotowego „życie poświęcić”?

W głowie Harrisa skrytykował się projekt scenariusza. Zaczął nawet wypuszczać pod adresem Wytwórni Filmowej próbną barion propozycji, które przekładało jednak szpłeczkami do wciół. Rozjuszony „mistrz” przypisywał ten krzywdzący stosunek do swojej twórczości niszczycielskiej robocie „rozmaitych Minkiewiczów” i gotów był godzinami opowiadać fragmenty swego scenariusza. Żalił się przy tym nie bez racji, że przedwojenni producenci byliby na pewno skorzyści z przebojowej piosenki i przebojowego bohatera, w przebojowym filmie patriotycznym. Oto pokrótce jego treść:

Warszawa, Rok 1939. W zacisznym dancingu grupa patriotycznej młodzieży. Młody kompozytor, Albert Harris, zajmuje centralne miejsce w grupie. Rozmawia się o nieuchronnej wojnie. Niepokój nurtuje serca, Anielsko piękna Anna ma oczy pełne łez. Kocha Alberta. Wybrała go spośród licznych wielbicieli. Stoją właśnie obok Alberta głęboko zadumani. Wczoraj był jeszcze zwycięskim rywalem, w zabiegach o serce Amy, a dzisiaj? Dzisiaj każdy z nich stoi u progu nieznanego: Albert Harris, Roman, syn właściciela dancingu i Gustaw, porucznik lotnictwa. Reka mistrza błędną po klawiaturze. Pod genialnymi dotknięciami palców zawiązuje się melodia. Twarze rozjaśniają się w serca wstępuje

otucha. Mistrz improwizuje słowa: „Jak uśmiech dziewczyny kochanej...” Anna płacze... Wokół patriotycznej grupy tłoczą się ludzie, podchwytywa melodię i słowa, pieśń potężnie jak lawina... aż pada zduszona wojenna kanonada. Ale tylko pozornie. Życie dalej w sercach żołnierzy. Gwizdza ją Gustaw porucznik lotnictwa przed każdorazowym wylotem z Anglii na kontynent, nuci ją Roman, artylerzysta Pierwszej Armii, forsując Dniepr i Bug... (Roman był koneserem Harrisa w stosunku do nowej rzeczywistości) ...śpiewa ją Albert Harris, nieustraszony partyzant. Anna jest przy nim. Jako siostra miłośniczka jest równie ofiarna jak Albert w boju. W ogniu walk, wśród huków wybuchów, oświetlany lunami pożarów, nieustraszonego kompozytor-bohater układa dalsze, nieśmiertelne zwrotki „Warszawy”. Z tą pieśnią na ustach walczy i gina żołnierz Alberta. Pod rytm tego walca maszerują, jedzą i śpią. Tylko Albert nie śpi. Pierwszy wyrusza w bój, ostatni wraca z pola. To nie że ma obandażowaną głowę, fraszka przestrzelona nogą... Często prosi go Anna w bitewnym rozgardiaszu: „Zjedz coś kochanie, jesteś cały dzień na nogach”. — „Ojczyzna ważniejsza!” — odpowiada Albert i dalej walczy.

Nie można bezkarnie prowokować losu. Albert rzuca się z gołymi pięściami na kolumnę tanków. Niszczy wprawdzie wszystkie tanki, lecz siania się raniony pociskiem armatnim... Wiemże ręce towarzyszy podchwytywa go w porę. „Nie to” — rzuca Harris przez zęby zaciśnięte od bólu. Stary wiarus, ostwiślały w partyzantce płacze jak małe dziecko. Oczy Anny są suche. Pełni swoją powinność sanitariuszki. Trzeba zapanować nad miłością, nad drżeniem rąk... nie uratują bowiem Alberta łzy Anny — kochanki, lecz pewne ręce Anny sanitariuszki. Albert spostrzega tę walkę wewnętrzną Anny. Jej drgająca grdyka jest niezbyt wymowna. Gestem nie znającym sprzeciwu przerywa jej zabieg: „Już za późno Anno... umieram...”. Rozpacz, z takim wysiłkiem hamowana porywa biedna kobieta. Pada na posłanie umierającego. Wiarus otoczył Alberta z ich surowych twarzy widać, że chętnie. Raz po raz potrzaskują głowami jak gdyby mówili: „Co za nieszczęście!” A on... On nie stracił fantazji do końca. Kazał się polozyc na wywróconym tanku wroga. Na znieprawionej swastyce! Promienie zachodzącego słońca okalają jego twarz złotą aureolą. Tuż nad lasem przelatuje samolot. Słychać śpiew lotnika: „Jak uśmiech dziewczyny kochanej...” Albert jest szczęśliwy, nieczego więcej nie pragnie.

Wiosenny poranek. Ku leśnej polanie zdążają trzy osoby: Wysoki lotnik w angielskim mundurze, krepny artylerzysta w rogatywce i kobieta w głębokiej żałobie. Przystają przy skromnej mogile z brzozywym krzyżem (Sic!) Nad polaną płyną obłoki. Korony drzew kołyszą się na wietrze. Liście szumia, strumyk szmerze, a ptaki też nie próżnują. Rytm natury przechodzi w rytm muzyki: „Jak świętobliwie jaskółek nad ranem... (Jaskółki świętobliwie). Jak wiosny budzącej się wiew... (wiew)... młodzieńcze uczucia nieznanego... (obaj młodzieńcy spoglądają na Annę łakomym wzrokiem). — Anna czując niesposobność tych spojrzeń nad ciepłą jeszcze mogilą przyjaciela, przerywa milczenie: „Pochowamy go w Warszawie, to było jego ostatnie życzenie...” Zbliżenie napisu na mogile: „Albert Harris — Artysta i bohater”. Pieśń potężnie, do słów: „Jam gotów ci życie poświęcić!”

Spojrzałem na Harrisa — miał łzy w oczach: „Jeżeli mi w Polsce odmówią realizacji, jadę do Ameryki...”

Albert Harris wyjechał bogatszy o dwa rozczarowania. Po pierwszym doświadczeniu w Związku Radzieckim, przekonał się, że w Polsce nie jest lepiej. Wprawdzie „naród polski” — ten z „Polonii” — przywitał go jak wieszca, ale lewica nie szanująca żadnej narodowej świętości, targnęła się także na niego, Alberta Harrisa! — Mógł Albert przeboleć śluby cywilne, mógł ścierpieć reformę rolną, sojusz z Rosją i oszczercza kampanię przeciwko Watykanowi, ale szargać „Piosenkę o mojej Warszawie!” — myśli przedę i uczuć kwiaty?

Obawiałem się, że przez pewien czas, po wyjeździe z Polski, zostanie Harris obrońcą naszej rzeczywistości. Obawiałem się, bo kto wie, czy przy obrotności „Bohatera naszych czasów” i lekkomyślnym poparciu naszych władz, nie podjąłby w końcu Harris legendy Paderewskiego. A to byłoby hańba niezmywalna.

Nie wiem zresztą, czy nie jest za późno. Czy odtąd każdego Polaka, przybijającego do portu nowojorskiego, w misji dyplomatycznej nie będą fetowali Amerykanie za to, że jest rodakiem „wielkiego Harrisa”.

Jan Rojewski

